



**WSPOMNIJ MNIE. JESZCZE TYLKO WSPOMNIJ MNIE
JACEK NIEĆKO (1934–2010)**

Pierwszego stycznia 2018 roku minęło osiem lat od śmierci Jacka Niecki.

„Chciałbym żeby mnie pamiętali chociaż za jedną linijkę, gdzieś kiedyś ktoś...”.

Pamięć o człowieku wygasa coraz prędeziej. Czym więcej ludzi na świecie, czym szybciej świat się zmienia, tym krótsza jest pamięć o tych co odeszli. Zacierają się ich ślady przydeptane milionem lepszych, cięższych butów, większych osiągnięć, innych osiągnięć. Łukasz, jedyny syn Jacka zmarł, przed nim. Był kucharzem w nowojorskiej restauracji. Nie interesowała go literatura, nie był filozofem. Zmarł nagle na atak serca, zmęczony codziennością gorącej, nowojorskiej kuchni z jej wszystkimi wyzwami. Nie pozostawił niczego swoim dwóm córkom, które ledwie znały swego dziadka.

Kiedy spotkałem Jacka, po długiej przerwie, w maju 1990 roku w Waszyngtonie i mówiliśmy o śmierci powiedział: „Często zupełnie nieświadomie działamy na wyrost, przygotowując się do zagrażającego kataklizmu, i równie nieświadomie staramy się stworzyć coś, co mogłoby przetrwać dłużej niż nasze ciało. Nie wierząc Bogu, budujemy sobie małą nieśmiertelność na własny użytek. Próby z góry narażone na niepowodzenie. Te wszystkie akcje, literackie pyłki, życiowe doświadczenia, zdadzą się tyle co psu na budę. Świat ich nie dostrzeże. Obejdzie się bez nich. Obejdzie się całkiem dobrze, bez większej straty. Nie ma sensu podejmowanie wysiłku wpisania własnego imienia w taką czy inną historię. Historię kraju, narodu, miasta, rodziny, historię sztuki czy literatury, naukę, wreszcie własnego ja”.

Nie chcę wspomnienia o kochanym, mądrym przyjacielu zaczynać od „urodził się” i sumować słowem, które kończy życie. Był poetą, filozofem, tłumaczem, znawcą literatury polskiej i amerykańskiej. Wymagał dużo i od siebie i od innych. Potrafił słuchać, a to co mówił było głęboko przemyślane, logiczne i do rzeczy.

Zatoczył się mój zameczek
Z karteczek układany.
Dach prawie jak rzeszoto
Obdrapane ściany.

A tak się uwijałem,
Dmuchałem na wszystkie ściegi,
Jak mrówka nosiłem słówka
Od Reya do Ortegi.

Co miałem wydawałem,
Przydawki, przymiotniki
Przecinki i wycinki,
Bzy i bezokoliczniki.

Najchętniej jednak verbum,
Pomieszane z acerbum.
Czekałem na wyniki.

Więc – wtedy – zaraz – i w poprzek –
Nikt się nawet nie spostrzegł.

Ten wiersz, zatytułowany *Poniedziałek* ukazał się w tomiku *Home Page* wydanym przez Czytelnika w roku 1997. Jacek nie miał złudzeń co do rozpoznania przez świat i przechowania pamięci o tym co napisał i próbował przekazać innym. Jest w tym dużo prawdy, ale wśród maturzystów 1951 i trochę starszych i trochę młodszych, uczniów Gimnazjum i Liceum im. Stefana Batorego, w Warszawie, pamięć o Jacku pozostanie żywa.

Jacek urodził się pod koniec sierpnia 1934 roku i był jedynym dzieckiem nie pierwszej młodości rodziców. Ojciec pracował w cukrowni, matka od czasu urodzenia Jacka chorowała, zajmowała się domem. Dwunastoletni Jacek prowadził ją pod rękę, krok po kroku, znacznie wyższą od siebie. Z mieszkania na rogu Rozbrat i Cecylii Śniegockiej szli z trudem pod górę Górnośląskiej i przystawali na powyszczerbianych odłamkami pocisków schodkach przy zbiegu z Myśliwiecką.

Jacek był jednym z najmłodszych w klasie, chociaż wydawało się, że jest starszy od nas wszystkich. Jego inteligencja i dojrzała mądrość zjednywały mu przyjaciół bardziej w gronie ludzi z poprzedniego pokolenia, niż wśród rówieśników. Kiedy na przerwach między lekcjami większość z nas grała w Zoškę i cymbergaja, lub ślizgała się „na kapciach” wzdłuż korytarzy, Jacek z poważną miną promenował u boku któregoś z dyżurujących profesorów. Najczęściej był to nauczyciel historii Jerzy Dowiat, lub łacinnik Stefan Dańciewicz. Te rozmowy rozciągały się często i poza szkołę. Stawały się podstawą pomaturalnych przyjaźni.

Z matematykiem Mieczysławem Czyżykowskim przyjaźnił się aż do późnej starości profesora. I Dowiat i Czyżykowski zostali profesorami wyższych uczelni. Uwielbiał panią Melanię Chmielewską, która uczyła geometrii i algebry po odejściu profesora Czyżykowskiego na Politechnikę.

W roku 2001 pisał do mnie Jacek z Waszyngtonu do Toronto: „Dostałem słodki list od Jacka Chyrosza (przyjaciel z naszej klasy) wczoraj, zupełnie zapomniałem, że przy czytaniu z «Mówią wieki» siadywałem na pulpicie — teraz pamiętam ten ruch. Jacek siedział w pierwszej ławce i trzymał pieczę nad dziennikiem klasowym, co przysparzało mu zarówno wrogów jak i przyjaciół. Marian Trojan, nauczyciel polskiego i historii w I gimnazjalnej wydobywał z gardła bulgot «Niećko, panie, dwóję mu tam postaw» i Jacek, jeśli to tylko było możliwe wpisywał trójkę z minusem. Nie wiem dlaczego dziś myślałem trochę o szkole, teraz już nie pamiętam w jakim kontekście. Może dlatego, że w «Twórczości» przeczytałem nader inteligentny artykuł o *Hamlecie* i uprzytomniłem sobie, że o Szekspirze na Myśliwieckiej na ogół się nie mówiło” (korespondencja ze stycznia 1990).

W roku 1993, z okazji 75-lecia istnienia szkoły, Państwowy Instytut Wydawniczy wydał książkę *Pochodem idziemy. Dzieje Gimnazjum i Liceum im. Stefana Batorego w Warszawie*. Zaskakująca była powierczowość opracowania naszych szkolnych lat 1946–1951. W prywatnych rozmowach i dyskusjach doszliśmy do wniosku, że ta ubogość treści mogła być zamierzona. Po to, żeby nie rozdzielać pokolenia, żeby nie potępiać i nie wywyższać, żeby przedstawić wartości szkoły w przygotowaniu podstaw do interesującego i pożytecznego życia jej wychowanków.

Jacek był aktywistą Samorządu Szkolnego i Spółdzielni Szkolnej. Przyjaźnił się z większością profesorów starej daty i budowa komunizmu nie wchodziła w zasięg jego zainteresowań.

Na Uniwersytecie Warszawskim studiował filologię klasyczną i anglistykę, pisząc tezę związaną z twórczością Christophera Marlowe'a. Był asystentem w Polskim Wydawnictwie Naukowym, pracował w Spółdzielni „Tłumacz”, pisał do „Trybuny Mazowieckiej”. „W latach 1955–1957 chodziłem dość często do Kameralnej, późnym wieczorem, albo nawet nad ranem. Pracowałem wtedy w «Trybunie Mazowieckiej» i strasznie dużo się piło. Z tego okresu były znajomości z Martą Mirską, Agnieszką Osiecką, Krystyną Chimanienko, ludźmi teatru, filmu i literatury. Kiedyś największym dla mnie szczęściem było spędzić wieczór w knajpie w towarzystwie Marty Mirskiej, Antoniego Jaksztasa, Mieczysława Fogga, Józefa Małgorzewskiego i Józefiny Pelegri ni (żony Wiktora Osieckiego) czy Marii Chmurkowskiej — teraz bym z nimi nie poszedł nawet na pięć minut za sto tysięcy dolarów” (korespondencja z lutego 2002).

W latach 1961–1964 Jacek pracował jako asystent na wydziale anglistyki Uniwersytetu Warszawskiego i wykładowca w Szkole Języków Obcych. Wyjechał z Polski w roku 1965. Studiował w Anglii i w Stanach Zjednoczonych będąc stypendystą British Council i Fullbrighta. W okresie 1967–1970 przebywał w Londynie i na Jamajce zajmując się głównie tłumaczeniami. Poznał angielski wyśmienicie i tłumaczył bezbłędnie zarówno z angielskiego na polski jak i odwrotnie. Od roku 1970 mieszkał w Waszyngtonie i aż do emerytury pracował w dziale wymiany naukowej i kulturalnej Agencji Informacyjnej Stanów Zjednoczonych (USIA). Był jednym z redaktorów „Ameryki”, „Horyzontów” i „Dialogu”, kierownikiem działu bibliograficznego i programu wydawnictw książkowych.

Jacek zadzwonił do mnie do Toronto pod koniec kwietnia 1990. „Andrzej? Czy ty jesteś, czy rzeczywiście ty? — spytał, a zaraz potem — Czy ty może mnie poznajesz, czy wiesz kto mówi?”. Mówił wolno, z tą charakterystyczną dla niego powagą i jednocześnie trzymanym gdzieś w odwodzie smutnym uśmiechem. Poznałem go od razu. Jacek Niećko! To niewiarygodne powiedział, naprawdę mnie poznałeś, po tylu latach?

W maju polecałem do Waszyngtonu. Wrażenia z tego waszyngtońskiego spotkania z Jackiem były tak mocne, tak przyjemne i tak osobiste, że do dziś nie jestem w stanie ich uporządkować. Jacek był depresyjny i pełen refleksji. Najłatwiejsze i najweselsze były rozmowy o szkole, o trwałości szkolnych przyjaźni, o wartościach jakie wynieśliśmy z „Batorego”. Był zmęczony, bez jakiegokolwiek ochoty na życie towarzyskie, chociaż wielu interesujących ludzi starało się o jego czas i przyjaźń. Jacek był wybiórczy i wymagający, a rozpoznawał wartości ludzkie tak samo bezbłędnie i szybko jak wartości wziętej do ręki książki. W kilka lat później pisał o sobie w korespondencji: „Jedyną co mi dano, w porównaniu powiedzmy z większością bliźnich, to instynktowna skłonność (zdolność) do szybkiego, syntetycznego myślenia i pewien rodzaj poczucia humoru i dowcipu. Jeśli te zdolności mają jakąś wartość, w co zresztą wątpię, to to zostało okupione dużymi brakami w dziedzinie tzw. radości życia, która może jest najważniejsza ze wszystkiego. Gdyby można było być w Polsce, jednocześnie tam nie będąc i mieć do czynienia tylko z tymi ludźmi, z którymi chce się mieć do czynienia, to byłby to mój wybór”.

Próbował bezskutecznie. Marzył, żeby jeszcze raz mieć kontakt z polską młodzieżą. Nauczyć ją tego co tak dobrze sam umie — amerykańskiej literatury, subtelności angielskiego języka. Pokazać jej z wrodzonym sobie obiektywizmem Stany Zjednoczone, biorąc w zamian trochę energii i świeżości. Trudności administracyjne zatarły

przyjemność jego pobytu w Polsce. Starał się zbliżyć do ludzi, a potem drobiazg, słowo, gest odpychało go od nich. Był samotny, tą ograniczoną przez siebie samotnością, którą lubił i cenił, blisko związany ze swoją żoną Marią i kilku przyjaciółmi, do których wracał po okresach milczenia.

Jacek niezwykle dbał o książki, które ustawiał starannie na półkach, o stare zdjęcia i drobiazgi ułożone na biurku. Segregował w teczkach materiały literackie własne i te przysłane do tłumaczenia, lub korekt. Najbardziej jednak dbał o wieczne pióra, które często mył, zmieniał, klasyfikował. W lutym 1990 roku pisałem do Jacka: „Nie myśl, że na Twoją cześć używam wiecznego pióra. Rutyna. Choć możliwe, że przejąłem ją od Ciebie. Pamiętam jak wielkie wartości przewiązywałeś do wiecznych piór. Już nie wiem czy na każdy dzień tygodnia miałeś inne, czy też zmieniałeś raz w tygodniu? W każdym razie był to jeden z bardzo sztywnych ceremoniałów”.

Jacek lubił słuchać muzyki Bacha i Beethovena, czytał poezję i eseistykę, twierdząc, że tylko z tego rodzaju wypowiedzi można się czegoś dowiedzieć. Zdziwiłem się też, że w polskiej księgarni, którą ześmy razem odwiedzili, oprócz wierszy Różewicza, kupił *Pustelnię Parmeńską* i *Czerwone i czarne*. Polecał mi gorąco powtórne przeczytanie *Emancypantek*. Są więc jeszcze powieści, które warto czytać, do których warto wracać.

Drobiazgi codzienności zajmowały mu dużo i coraz więcej czasu. „Przez tą pieprzoną rozedmnę płuc — pisał — wszystkie czynności ulegają dość znacznemu spowolnieniu, więc tych godzin, w ciągu których coś można zrobić jest mało; trzeba je wykozystać...”. Niemniej w 1990 roku miał już za sobą sporo publikacji i tłumaczeń. Między innymi: *Trzydzieści lat Polskiego Instytutu Sztuki i Wiedzy w Ameryce, Świat Franklina i Jeffersona*, recenzję książki Johna K. Galbraitha *Kapitalizm, komunizm i koegzystencja*, recenzję opowiadania Kazimierza Brandysa *Rondo* zamieszczoną w „The Washington Times”. W „Głosie Polskim” w Toronto ukazał się wiersz Jacka *Wiosna 1990*. Na angielski przetłumaczył: *Bitwę o Narvik* Deca, niektóre rozdziały w książce Helsztyńskiego o Szekspirze, prace Kotarbińskiego, Chałasińskiego, Kołakowskiego, rozdziały z wydanej w Londynie książki o chrześcijańskiej cywilizacji w Polsce.

W czerwcu 1992 paryska „Kultura” zamieściła wspomnienie Jacka o Pawle Mayewskim, myślicielu i literacie. Sploty sprzeczności i paradoksów, jakie wszyscy w sobie nosimy, były w nim wyraźniejsze niż u innych, namacalne. Jacek bardzo się interesował Mayewskim, jego życiem i stosunkowo mało rozpowszechnioną twórczością. W roku 2000 opracowywał korespondencję Mayewskiego z Czesławem Miłoszem.

Jacek przyleciał do Toronto w sierpniu 1992 roku. Na kilka dni. Czekałem na niego na lotnisku. Pochylony, pchał przed sobą wózek ze skórzaną torbą i jakimś dodatkowym bagażem. Nienagannie ubrany, w ciemnym garniturze z jaśniejszym prążkiem, z wąską muszką pod szyją w kolorach garnituru. Szczupły, z bladą twarzą mola książkowego, w okularach. Serdeczny, zamyślony, przyznający się do swoich uczuć z oporami i pozorami szorstkości, sprawiający swoją obecnością jakiś psychiczny komfort, dający ciepło.

Tak się złożyło dziwnie, że po tych wszystkich przyptywach i odpływach wiele się sprowadza teraz do tego, że jakimś cudem się przechowała przyjaźń z murku na Górnośląskiej.

Łatwo było rozmawiać z Jackiem o rzeczach jeszcze nie całkiem sprecyzowanych. O książce myśli wstawionej na półkę pamięci, ale bez ostatniego rozdziału. Namawiałem go, żeby zostawił cudze papierki na podłodze i otwartą deskę klozetową. Żeby nie zbierał, nie układał, nie tłumaczył innych. Prosiłem żeby pisał swoje, żeby napisał książkę, żeby pisał wiersze.

„Sprawy polskie (poza pewnymi aspektami literatury) doprowadzają mnie do szału i mam do tego wszystkiego głęboki wstręt. Nie mam wstrętu do Przyborowskiego np. nadal jednak, ani do Zofii Nałkowskiej, powiedzmy...”. Zajął Jacka twórczość Audena, poezja Wisławy Szymborskiej. „Obok Eliota i Yeatsa, Auden jest najważniejszym poetą XX wieku. To, co ja na jego temat robię, to są uzupełnienia do *Dzieł Wszystkich*, które od 1988 roku wydaje Edward Mendelson, profesor Columbia University...”. W liściach Towarzystwa Audenowskiego w roku 2001, ukazał się esej Jacka dotyczący przygotowanego przez Audena dla CBC nagrania o Eliotcie.

W marcu roku 2000 zmarł Łukasz, jedyny syn Jacka. To zachwiało wątłym zdrowiem, skróciło jeszcze bardziej dzień pracy Jacka, położyło cień na sensie życia. Napisał elegie dla Łukasza i po polsku i po angielsku. Ustawicznie je poprawiał i szlifował, z trudem odrywał się od nich do innych zajęć.

„Męcę się strasznie, bo muszę w końcu wydusić z siebie kilka stron artykułu recenzji do tych «Kresów» w Lublinie o dziennikach Zygmunta Mycielskiego — był to moim zdaniem jeden z najinteligentniejszych ludzi, jacy po ziemi polskiej chodzili — bo w końcu muszę to posłać... Mycielskiego, ja go tak przelotnie znałem, ale właściwie nie, ale to nie jest ważne, ja przelotnie znałem prawie wszystkich...”.

„Zwijam się tłumacząc dość długi i skomplikowany esej dla «Res Publici Nowej» i dwa wiersze Herberta, chyba dla «The Antioch Review»”. Podobnie do Audena, Niećko uważał, że ze wszystkich form literackich, poezja jest najbardziej zbliżona do prawdy i że jej tłumaczenie wnosi nową wrażliwość, styl i retorykę, wzbogaca język na jaki wiersz jest przekładany.

„Teraz piszę różne krótkie teksty, którymi próbuję coś sobie o sobie powiedzieć — jest to dość ambitne zadanie, ale próbuję — nikt tego nie zrobi za mnie, chociaż to chyba niezbyt wielka strata. Wolałbym być współautorem w dwóch procentach *Pamiętników* Paska — ale to się nie spełni...”.

„Oszmaniec [była dyrektorka Gimnazjum im. Stefana Batorego — A.P.] bym może posłał egz. *Home Page* do biblioteki — możesz mi przysłać zip do nich — może powinienem to zrobić dawno — bo to się nie powtórzy, a tyle jednak dobrego z tej szkoły żeśmy wynieśli”.

W roku 2000 ukazała się w Polsce antologia amerykańskiej poezji pod redakcją Niećki, a w marcu 2002 Jacek pracował nad bardzo długim rękopisem Józefa Wittlina z 1940–1941 dla Wydawnictwa Literackiego, też nad artykułem o Audenie jako szekspirologu dla lubelskich „Kresów”.

Córka Józefa Wittlina Elżbieta Wittlin Lipton była „zmorą” Jacka. Opracowywał archiwum Wittlina, co sprawiało mu dużo trudności. Był tym znudzony i zmęczony, unikał spotkań z jego zbyt gadatliwą i męczącą córką, która odbierała mu spokój i radość kontemplacji. „Znowu ta cholerna Wittlinówna — narzekał”. W końcu, już po śmierci Jacka, archiwum Wittlina skompletowała Ewa Wielgosz. Praca Niećki została skomentowana jednym zdaniem, z którego wynikało, że jego teksty były nie do odczytania.

Ostatni raz widziałem Jacka Niećkę w Waszyngtonie, w marcu roku 2001. Kwitły wiśnie i rododendrony. Bielilo się i różowiło. Kwitły bratki i hiacynty, kwiaty świętego Jacka.

Jeszcze w lutym następnego roku pisał: „Często się porównuję z tym bezdomnym pomyślnym, który chroni się przed mrozem i deszczem we wnące koło sklepu spożywczego naprzeciwko — zamiast myśleć o tym, że powinienem przeprowadzić z nim wywiad, czego jednak nie zrobię, czytam raczej *Myśli* Pascala — co za geniusz był ten Pascal”.

Jacek przestał odpowiadać na moje listy w kwietniu 2003. Miał się przenieść z Waszyngtonu do jakiegoś bliżej nieokreślonego uniwersyteckiego miasta w Stanach, gdzie Maria znalazła pracę po przejściu na emeryturę. Wiedziałem, że jest w depresji, że nie chce mieć kontaktu z ludźmi. Nie chciałem tego zaakceptować. Telefon był rozłączony, a może numer wymieniony i zastrzeżony, listy wracały. Marii nie mogłem znaleźć. Redakcje, z którymi był związany nie znały miejsca jego pobytu.

Trzeciego stycznia zadzwoniła Maria z Oxfordu, Ohio. Jacek zmarł w pierwszy dzień Nowego Roku 2010.

W moim rzeczy spisie w zestawieniu źródeł
w indeksie nazwisk imion i we mgle skojarzeń
posrebrzane grzbiety zabłyszcą od marzeń.

Andrzej Pawłowski (Kanada)